

Peter Gray

Wolne DZIECI

*Jak zabawa sprawia, że dzieci
są szczęśliwsze, bardziej pewne siebie
i lepiej się uczą?*



Peter Gray

Wolne DZIECI

*Jak zabawa sprawia, że dzieci
są szczęśliwsze, bardziej pewne siebie
i lepiej się uczą?*

Przełożyła z języka angielskiego
Grażyna Chamielec

ni

Tytuł oryginału

FREE TO LEARN

WHY UNLEASHING THE INSTINCT TO PLAY WILL MAKE OUR CHILDREN
HAPPIER, MORE SELF-RELIANT AND BETTER STUDENTS FOR LIFE

Projekt graficzny

KAROLINA TOLKA

Tłumaczenie

GRAŻYNA CHAMIELEC

Copyright © 2013 by Peter Gray

First published in the United States by Basic Books, a member of the
Perseus Books Group

Copyright © 2015 for the Polish edition and translation by

Wydawnictwo MiND

ISBN 978-83-62445-53-0

*Dla Scotta, który mnie zainspirował,
i Diany, bez której napisanie tej
książki byłoby niemożliwe.*

Prolog

„IDŹ DO DIABŁA!”

To zdanie mnie uderzyło. Zdarzało mi się wprawdzie słyszeć je wcześniej, ale nikt nigdy nie wypowiedział go wobec mnie tak poważnie. „Idź do diabła!” – słyszałem od kolegów, którzy mieli dość mojego uporu w dyskusji, albo reagowali na jakieś głupstwo, które palnąłem. Służyło to temu, aby rozładować napięcie lub zakończyć bezsensowną kłótnię. Tym razem jednak poczułem się naprawdę posłany do diabła: nie takiego z rogami i ogonem, do którego mógłbym trafić po śmierci, gdybym w niego wierzył, ale takiego, który może człowiekowi urządzić piekło we własnej głowie, szepcząc mu do ucha, że zawiódł kogoś, kogo kocha.

Słowa te wypowiedział mój dziewięcioletni syn, Scott, w gabinecie dyrektora publicznej szkoły podstawowej. Właściwie nie były one skierowane tylko do mnie, ale do wszystkich siedmiu mądrych, dorosłych osób, które stały naprzeciwko niego: dyrektora, dwóch nauczycieli, szkolnego pedagoga i psychologa, jego matki (mojej zmarłej żony) i mnie. Staliśmy tam jako zwarty front, który zebrał się, aby wytłumaczyć Scottowi, że „musi” chodzić do szkoły i „musi” robić to, co każą nauczyciele. Każde z nas stanowczo wyraziło swoje zdanie i wtedy on, rzucając nam wszystkim zdecydowane spojrzenie, powiedział to, co tak mnie otrzeźwiło.

Rozpłakałem się. Nagle zrozumiałem, że jestem po niewłaściwej stronie: powinienem wspierać mojego syna, a nie szkołę. Przez łzy spojrzałem na swoją żonę – zobaczyłem, że ona też płacze, i zrozumiałem, że myśli i czuje dokładnie to samo. Wiedzieliśmy już, co mamy zrobić – to, czego Scott od dawna od nas oczekiwał: zabrać go ze szkoły. Nie tylko z tej konkretnej szkoły, ale z każdej instytucji, która szkołę przypomina. Dla niego szkoła była więzieniem, a on nie zrobił nic, aby na uwzięzienie zasłużyć.

To spotkanie w gabinecie dyrektora było punktem kulminacyjnym całej serii podobnych spotkań i rozmów, w których uczestniczyliśmy w ciągu kilku lat szkolnej edukacji naszego syna. Za każdym razem słyszeliśmy, że źle się zachowuje. Jego nieodpowiednie zachowanie przeszkadzało pracownikom szkoły w sposób szczególny, ponieważ nie były to typowe wybryki, jakich nauczyciele spodziewają się po chłopakach zamkniętych na niewielkiej przestrzeni. Zachowanie mojego syna bardziej przypominało zaplanowany bunt. Systematycznie i umyślnie robił rzeczy dokładnie przeciwne temu, czego oczekiwali nauczyciele. Gdy matematyk kazał rozwiązywać zadanie w jakiś konkretny sposób, on wymyślał sposób alternatywny. Na lekcji ortografii bezładnie pisał – jak poeta e. e. cummings – wielkie litery i znaki interpunkcyjne albo nie stawiał ich wcale. Czasami – coraz częściej – wychodził z klasy bez pozwolenia i jeśli nikt go nie powstrzymywał, wracał do domu.

W końcu udało nam się znaleźć dla Scotta szkołę, która się sprawdziła. Szkołę tak odmienną od tego, co zazwyczaj kryje się pod tą nazwą, jak tylko można sobie wyobrazić. Opowiem o niej później, jak również o światowym ruchu edukacyjnym, który zainicjowała. Jednak niniejsza książka nie jest poświęco-

na żadnej konkretnej szkole. Jest to książka o naturze procesu uczenia się.

Dzieci przychodzą na świat z ogromnym pragnieniem nauki, mają genetycznie zaprogramowany instynkt zdobywania wiedzy i umiejętności. W ciągu pierwszych czterech lat przez nikogo nieprzymuszone przyswajają ogromne ilości informacji i nowe czynności. Uczą się chodzić, biegać, skakać i wspinać. Uczą się rozumieć język kultury, w której wznoszą się, i samodzielnie nim posługiwać. Za pomocą słów uczą się wyrażać swoją wolę, dyskutować, żartować, irytować, nawiązywać przyjaźnie i zadawać pytania. Zdobywają niewiarygodną ilość wiedzy na temat fizycznego i społecznego świata, który je otacza. Wszystko to zawdzięczają swoim wrodzonym instynktom, naturalnej ciekawości i chęci zabawy. Ten ogromny pęd do wiedzy i zdobywania nowych umiejętności nie znika w momencie, gdy osiągają wiek pięciu czy sześciu lat. To my go wyłączamy za pomocą systemu szkolnictwa, który opiera się na przymusie. Szkoła uczy dzieci przede wszystkim i najskuteczniej jednej rzeczy: że uczenie się to praca, której należy unikać.

Słowa mojego syna wypowiedziane w gabinecie dyrektora zmieniły kierunek nie tylko mojego osobistego życia, ale i pracy zawodowej. Jestem profesorem biopsychologii – badaczem biologicznych podstaw popędów i emocji. W tamtym czasie zajmowałem się wpływem hormonów na odczuwanie strachu przez szczury i myszy oraz mechanizmami zachodzącymi w ich mózgu w związku z opieką nad młodymi. Spotkanie w gabinecie dyrektora wyzwoliło serię wydarzeń, które zmieniły obszar moich zainteresowań. Zająłem się biologicznymi podstawami procesów uczenia się. Początkowo główną motywacją moich badań była troska o syna. Chciałem upewnić się, czy nie popełniamy błędu, pozwalając mu na podążanie własną ścieżką

edukacyjną, a nie drogą wyznaczoną przez profesjonalistów. Stopniowo jednak zyskiwałem przekonanie, że samodzielna edukacja Scotta daje znakomite rezultaty, a moje zainteresowania naukowe coraz bardziej kierowały się w tę stronę.

Co takiego sprawia, że jesteśmy istotami tworzącymi kulturę? Jakie aspekty ludzkiej natury pozwalają nam korzystać z umiejętności, wiedzy, przekonań, teorii i wartości poprzednich pokoleń? Pytania te skłoniły mnie do badań nad edukacją niezależną od tradycyjnego systemu szkolnego, na przykład w tej niezwykłej nie-szkole, do której uczęszczał mój syn. Przyglądałem się rosnącemu światowemu ruchowi edukacji domowej i poznawałem, w jaki sposób dzieci się uczą. Czytałem literaturę antropologiczną i rozmawiałem z antropologami, by dowiedzieć się jak najwięcej o życiu dzieci w kulturach zbieracko-łowieckich, w jakich żyliśmy przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent naszej historii ewolucyjnej. Zapoznawałem się z wynikami psychologicznych i antropologicznych badań na temat roli zabawy w edukacji i życiu dzieci. Z moimi studentami przeprowadziłem także nowe badania na ten temat. Wszystkie te wysiłki pozwoliły mi zrozumieć, jak silna jest dziecięca potrzeba zabawy i odkrywania świata.

Moja praca doprowadziła mnie do nowych wniosków na temat optymalnych warunków uczenia się poprzez zabawę. Zrozumiałem, że gdybyśmy chcieli, moglibyśmy uwolnić dzieci od przymusowej edukacji i zorganizować ośrodki, w których wykorzystywałyby swoje zdolności do samokształcenia, nie tracąc jednocześnie radości dzieciństwa.

O tym wszystkim jest ta książka.

Rozdział 1.

CO ZROBILIŚMY Z DZIECIŃSTWEM?

Miałem w życiu setki wspaniałych nauczycieli, jednak gdybym miał wybrać najważniejszego, bez wahania wskazałbym na Ruby Lou. Kiedy ją poznałem, miałem pięć lat, ona była o rok starsza. Moja rodzina właśnie przeniosła się do nowego miasta i mama zaproponowała, żebym przeszedł się od domu do domu i popytał, czy nie mieszkają tam jakieś dzieci. W ten sposób po drugiej stronie ulicy znalazłem Ruby. W ciągu kilku minut zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi na całe dwa lata, które spędziłem w tym mieście. Ruby Lou była starsza, mądrzejsza i odważniejsza niż ja, ale nie było między nami ogromnej różnicy – i dlatego stała się dla mnie fantastycznym nauczycielem.

W połowie lat osiemdziesiątych minionego stulecia Robert Fulghum opublikował niezwykle popularny zbiór esejów pod tytułem: *All I Really Need to Know I Learned in Kindergarten* (Wszystkich potrzebnych rzeczy nauczyłem się w przedszkolu). Ja nie chodziłem do przedszkola, ponieważ nie było go w moim małym miasteczku. Myślę jednak, że Fulghum zgodziłby się z tezą, że większość ważnych lekcji, które dostajemy w życiu, nie jest związana z takim czy innym miejscem, przedszkolem czy szkołą, ale są to lekcje, których udziela nam samo życie.

Ruby Lou i ja bawiliśmy się razem niemal codziennie, nieraz całymi dniami, czasem tylko we dwoje, czasem z innymi dzieć-

mi z sąsiedztwa. Kiedy poszła do pierwszej klasy, bawiliśmy się po szkole i w weekendy.

Sądzę, że mógłbym napisać książkę: *Wszystkich potrzebnych rzeczy nauczyłem się od Ruby Lou*. Pierwszą z nich była jazda na rowerze. Nie miałem roweru, ale ona pozwalała mi jeździć na swoim. Łatwiej mi było uczyć się na dziewczęcym, bo przy wsiadaniu i zsiadaniu nie musiałem przekładać nogi ponad ramę. Ulica, przy której mieszkaliśmy, schodziła w dół po niewielkim zboczu i Ruby pokazała mi, że jeśli wsiądę na rower na szczycie wzgórza, bez pedałowania zjadę w dół. W ten sposób nauczyłem się utrzymywać równowagę na rowerze. Ruby poradziła mi, żebym pedałowal dopiero wtedy, gdy zjadę ze wzgórza, i starał się dojechać jak najdalej, zanim się przewrócę lub zahamuję. Podczas pierwszych prób kilka razy zdarłem sobie kolana, a raz wjechałem w zaparkowany samochód sąsiada, ale Ruby Lou powtarzała, że mam się nie martwić, bo jeżdżę coraz lepiej i wkrótce przestanę się przewracać. I rzeczywiście, nauczyłem się jeździć w ciągu kilku dni. Wtedy moi rodzice kupili mi starego, dużego grata („Żebyś za szybko z niego nie wyrósł”) z męską ramą, na którego z trudem wsiadałem, ale umiałem już na nim jeździć. To były moje dwa kółka, dzięki którym w wieku pięciu lat poznałem wolność.

Od tej pory jeździliśmy z Ruby Lou po okolicy, a nawet zapuszczaliśmy się na wieś. Wydawało nam się, że te wycieczki to wielkie wyprawy, choć zapewne nigdy nie zajechaliśmy dalej niż trzy albo pięć kilometrów od domu. Samemu nie wolno mi było robić takich wycieczek, ale z Ruby Lou – owszem. Mama wiedziała, że moja sześćioletnia przyjaciółka jest dojrzała, odpowiedzialna i dobrze zna okolicę – i nie pozwoli mi wpaść w tarapaty. Każda przygoda uczyła nas czegoś o świecie, w któ-

rym żyliśmy, poznawaliśmy także różnych ludzi. Do dzisiaj rower jest moim ulubionym środkiem lokomocji i czasem, gdy jadę do pracy, wspominam rowerowe wyprawy z Ruby Lou.

Moja przyjaciółka nauczyła mnie także wspinać się na drzewa. W naszym ogrodzie rosła sosna, która mnie, pięcioletniemu chłopcu, wydawała się ogromna. Jej czubek sięgał aż do nieba – był to idealny prezent od Boga. Nie byłem ani najmocniejszym ani najzręczniejszym dzieckiem w okolicy, więc miesiącami trenowałem. Ruby wspinała się znacznie lepiej, ale kiedy udawało jej się dotrzeć na wyższą, wcześniej nieosiągalną gałąź, wiedziałem, że ja też mogę to zrobić. To było ekscytujące: wspinać się ku niebu, a później patrzeć w dół, na ziemię. Wchodziliśmy na wysokość czterech, może sześciu metrów – wystarczająco wysoko, żeby poczuć dreszczyk emocji i jednocześnie przekonać się, że jesteśmy w stanie sobie poradzić. W ten sposób gromadziłem pewność siebie, która później procentowała przez całe moje życie.

Pewnego upalnego dnia Ruby Lou dała mi też pierwszą lekcję na temat śmierci. Bawiłem się wtedy na dworze w plastikowym basenie, wskakując do niego i ślizgając się na pupie w wodzie. Ruby Lou weszła na podwórze. Oczekiwałem, że jak zwykle wskoczy do basenu, jednak nie zrobiła tego. Usiadła na trawie i nic nie mówiła. Próbowałem rozśmieszyć ją różnymi sztuczkami, ale nic nie działało. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś się w ten sposób zachowywał. Podszedłem i usiadłem obok niej. Powiedziała mi wtedy, że jej dziadek zmarł w nocy. To było moje pierwsze doświadczenie związane ze śmiercią i moja pierwsza próba pocieszenia osoby, która straciła kogoś bliskiego. Oczywiście, nie udało mi się to. Z czasem zrozumiałem, że to się nigdy nie udaje. Jedyne, co można zrobić, to być

obok jak przyjaciel i pozwolić, żeby czas ukoił ból. Na szczęście, gdy ma się sześć lat, czas działa szybko – każdy dzień ma siłę dwóch tygodni. Nie minęło kilka dni, a ja i Ruby Lou znów bawiliśmy się i śmialiśmy.

Nie jestem jedyną osobą, która patrząc wstecz na swoje życie, żałuje, że dzisiejsze dzieci mają mniej swobody. Zapytaj kogoś w średnim wieku lub starszego, jak wyglądało jego dzieciństwo, a opowie ci o czasie pełnym przygód – z innymi dziećmi i bez dorosłych. Oto fragment eseju Hillary Rodham Clinton, byłej Pierwszej Damy i Sekretarz Stanu USA.

Mieliśmy dobrze zorganizowaną społeczność dzieci i bawiliśmy się każdego dnia po szkole, w każdy weekend, latem często od świtu aż do zmroku, kiedy rodzice wołali nas wreszcie do domu. Jedną z naszych zabaw polegała na gonieniu uciekającego – był to rodzaj skomplikowanej gry łączącej w sobie chowanego i berka z podziałem na drużyny. Rozpierzchaliśmy się po okolicy wokół dwóch lub trzech bloków, ustaliliśmy wcześniej bezpieczne miejsca, gdzie można się schronić przez pościgiem. Istniały także reguły określające, kiedy „zberkowany” może wrócić do gry. Wszystkie nasze zabawy miały złożone reguły, ustalone podczas długich negocjacji. Spędzaliśmy w ten sposób całe godziny. Byliśmy niezależni, dawano nam mnóstwo swobody. W dzisiejszych czasach nie można sobie tego nawet wyobrazić. To jedna z największych strat dla społeczeństwa¹.

Trudno nie zgodzić się z tym, że sekretarz stanu Hillary Clinton wyrosła na wybitnie kompetentną, pewną siebie i odpowiedzialną osobę. Gdy myślę o tym, jak negocjuje porozumienia ze światowymi liderami, wyobrażam sobie małą dziewczynkę uzgadniającą reguły gry z dziećmi z sąsiedztwa.

„Byliśmy niezależni, dawano nam mnóstwo swobody. W dzisiejszych czasach nie można sobie tego nawet wyobrazić. To jedna z największych strat dla społeczeństwa”. Ta strata jest nie tylko wielka, ale i tragiczna. Natura stworzyła dzieci do zabawy i wyposażyła je w ciekawość świata. Potrzebują wolności, żeby się rozwijać i bawić, to podstawowy biologiczny instynkt. Jej brak może nie zabija ciała, jak brak pożywienia, wody czy powietrza, ale zabija ducha i hamuje rozwój psychiczny. Poprzez swobodną zabawę dzieci uczą się nawiązywać przyjaźnie, pokonywać strach, rozwiązywać problemy i przejmować kontrolę nad swoim życiem. Jest to także podstawowy sposób zdobywania umiejętności fizycznych i intelektualnych, które są potrzebne, żeby osiągnąć sukces w świecie. Nic, co dorośli mogą zrobić dla dzieci, żadne zabawki ani zajęcia dodatkowe, żadne wspaniałe chwile (*quality time*) spędzone w rodzinnym gronie nie wynagrodzą dziecku odebranej wolności. To, czego dzieci uczą się same w swobodnej zabawie, nie może zostać im przekazane w inny sposób.

Umieszczamy dzieci w sztucznym środowisku i oczekujemy, że będą spędzać czas pod kierunkiem osób dorosłych, siedząc w ławce, słuchając lub czytając o rzeczach, które ich nie interesują, i odpowiadając na pytania, których same nie zadały. Dajemy im mniej czasu i mniej swobody do zabawy, poznawania świata i rozwijania prawdziwych zainteresowań.

Jestem psychologiem ewolucyjnym – zajmuję się badaniem rozwoju dziecka z perspektywy teorii ewolucji. Szczególnie interesują mnie te aspekty dziecięcej natury, dzięki którym dzieci same z siebie chcą się uczyć tego, co jest im potrzebne do przeżycia w naszym świecie i naszej kulturze. Inaczej mówiąc, interesują mnie biologiczne podstawy edukacji. Aby je poznać,

byłem badaczem procesy uczenia się w pierwotnych ludzkich społeczeństwach zbieracko-łowieckich, gdzie nie ma szkół, a dzieci same odpowiadają za proces nauki. Byłem także, jak wygląda współczesna edukacja w niezwykle szkole blisko mojego domu w Massachusetts, gdzie setki dzieci i nastolatków z powodzeniem uczą się bez narzuconego przez dorosłych planu i bez testów. Ponadto interesowałem się także edukacją domową, praktykowaną w wielu rodzinach (*homeschooling*). Oprócz tego poznałem dostępne wyniki badań z dziedziny biologii i psychologii na temat roli zabawy w rozwoju dziecka.

Wszystko, czego się dowiedziałem, układa się w niezwykle spójną całość, która stoi w sprzeczności z powszechnymi przekonaniem na temat edukacji. Dzieci są biologicznie predysponowane do tego, żeby samodzielnie się uczyć. Rozkwitają, jeśli pozostawi się im swobodę działania i dostarczy środków, za pomocą których mogą rozwijać własne zainteresowania w bezpiecznym otoczeniu. Ich rozwój przebiega wtedy w różnych, czasami nieprzewidywalnych kierunkach. Zdobywają przy tym pewność siebie konieczną do stawiania czoła życiowym wyzwaniom. W takim środowisku dzieci proszą rodziców o pomoc tylko wtedy, gdy czegoś potrzebują. Nie ma potrzeby narzucania im lekcji, wykładów, zadań, testów, stopni, podziału na klasy według wieku ani stosowania innych metod praktykowanych przez nasz system edukacji oparty na przymusie. Wszystkie te rozwiązania tylko przeszkadzają dziecku w naturalnej edukacji.

Niniejsza książka jest poświęcona naturalnej dziecięcej potrzebie samokształcenia i warunkom, jakie muszą zostać spełnione, żeby te naturalne instynkty działały optymalnie. Piszę także o tym, jak my – jako społeczeństwo – możemy zapewnić

dzieciom te warunki znacznie niższym kosztem, niż robi to tradycyjny system szkolnictwa. Część tej książki została poświęcona potężde zabawy, która w dużej mierze odpowiada za dziecięcy pęd do samokształcenia, najpierw jednak zajmę się oceną szkół, jakie wyrządzamy dzieciom, ograniczając ich wolność. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat obserwujemy coraz większe problemy związane z psychicznym i fizycznym zdrowiem dzieci. Jeśli tendencja ta będzie postępować, grozi nam poważne niebezpieczeństwo, ponieważ wypuścimy w świat pokolenie, które nie będzie potrafiło samodzielnie radzić sobie w życiu.

Półwieczny regres

Bawiące się na dworze dzieci można było niegdyś spotkać na każdym osiedlu i podwórku. Po szkole, w weekendy i latem dzieciaki spędzały mnóstwo czasu na swobodnej zabawie bez nadzoru dorosłych. Dzisiaj możemy co najwyżej zobaczyć na dworze chłopców i dziewczęta ćwiczących jakiś sport pod okiem trenera – z rodzicami obserwującymi i oklaskującymi każdy ich ruch.

W swojej książce na temat historii zabawy w Ameryce Howard Chudacoff opisuje pierwszą połowę XX wieku jako „złoty wiek nieustrukturyzowanych zabaw dziecięcych”². Pisząc o „nieustrukturyzowanej” zabawie, ma na myśli zabawy, w których reguły są określane przez dzieci, a nie przez jakiś autorytet z zewnątrz. Ja w takich wypadkach mówię o „swobodnej zabawie”. Dzieci same w niej decydują, w co i jak będą się bawić, mają swobodę określania celów i zasad. Spontanicznie rozegrany mecz w piłkę to zabawa swobodna, ale rozgrywki szkolne już nie. Swobodna zabawa to dla dzieci okazja, żeby nauczyć się samodzielnego nakładania ram na swoje zachowanie.